

4 w 2020 (230)

Kilka (nie)harcerskich książek dla instruktora

Data publikacji: 14.02.2020 / Autor: Dyzma Zawadzki

Temat niewątpliwie na czasie, bo przyznano całkiem niedawno szwedzką nagrodę i wszyscy o książkach mówią. Pierwotnie chciałem się zamknąć w wyborze dziesięciu pozycji, ale życie zweryfikowało plany, jak zawsze zresztą, i książek jest mniej, za to dodatkowe kilka “w opracowaniu” (szczęśliwie mogę sobie pozwolić na rozbić tego typu artykułu na nieskończoną ilość części). Ale do rzeczy!

Wśród zestawów polecanych instruktorom książek poza książkami o tematyce ściśle metodycznej, harcerskiej (które to książki naprawdę polecam), najczęściej znajdują się książki o wychowaniu, o współczesnym społeczeństwie, literatura ideowa, filozoficzna, historyczna... Rzadko kiedy sięgamy do przepastnego skarbca literatury pięknej. Być może dlatego, że boimy się jej niejednoznaczności w organizacji, w której dla wielu kluczowe jest “dookreślenie ideowe”?

A szkoda, bo ja osobiście uważam, że nic tak nie kształtuje osobowości, jak porządna książka. [Trochę pisałem o tym w kontekście wędrowników](#), choć tu muszę zaznaczyć, że podobną rolę mogą pełnić rzecz jasna również filmy, seriale i wszelkie inne wytwory kultury. Kiedyś zabierzemy się za wybór filmów dla wędrowników w myśl Baden-Powella, że kino musimy wykorzystać, a nie je zwalczać.

Niech nie zrazi Was fakt, że część z tych książek jest postrzegana jako książki “dla dzieci”, czy też “młodzieży”. W większości są też bardzo znane (bo uniwersalne) i na pewno duża część z Was je czytała, uważam jednak, że warto czytać te same książki kilka razy. Pozwala to spojrzeć na treść książki w zupełnie inny sposób, odkryć ukryty wcześniej, inny sens. Co za tym idzie, ponowna lektura tej samej książki pozwala uświadomić sobie zmianę perspektywy, z jakiej się odbiera treść literacką, a zatem własny rozwój. Nie ma zaś nic bardziej istotnego dla kształtowania własnego charakteru, niż świadomość własnego dorastania.

Porządek od pierwszych pomysłów, jakie przyszły mi do głowy, do takich, które trafiły do niej po paru tygodniach (miesiącach).

Jasnowłosy chłopiec zsunął się ze skały i zaczął iść ostrożnie w kierunku laguny.

Chociaż zdjął sweter i włókł go teraz za sobą po ziemi, szara koszula przywarła do ciała, a włosy kleiły się do czoła. W otaczającym go długim paśmie strzaskanej roślinności dżungli gorąco było jak w łaźni. Z trudem przedzierał się przez pnącza i ścięte pnie, gdy nagle jakiś ptak, czerwono-żółta zjawa, zerwał się i wzbił w górę jakby z wróźebnym okrzykiem; a okrzykowi temu niby echo zawtórował inny.

Władca Much, Wilhelm Golding - ta książka oddaje (między innymi) sprawiedliwość roli wychowania w socjalizacji człowieka. Człowiek jest istotą społeczną i nie może się poza społeczeństwem rozwinąć, na tym założeniu opiera się cała misterna konstrukcja cywilizacji (wbrew pozorom nie tylko zachodniej). Na wyspie nieudaną próbę budowy społeczeństwa, prowadzącą do tragedii, podejmują ludzie jeszcze nie do końca ukształtowani, czyli dzieci. Golding nie bez powodu uczynił swoimi bohaterami chłopców w różnym wieku: z jednej strony jest to sprytny zabieg fabularny, dzięki któremu wydarzenia na bezludnej wyspie szokują jeszcze bardziej, z drugiej strony jednak osadzenie w roli rozbitków ludzi dojrzałych uniemożliwiłoby doprowadzenie do tak daleko posuniętej degeneracji więzi społecznych bez uciekania się do rozwiązań fabularnych opartych o szaleństwo. A przecież, jak wynika z zakończenia powieści, chłopcy wcale nie oszaleli, a powrót do cywilizacji może być zbawienny (choć nie musi).

Za kwadrans pierwsza, w pełnej napięcia chwili, kiedy długie oczekiwanie uwieńczone zostało wreszcie sukcesem i w bezbarwnym dotąd płomieniu palnika Bunsena rozbłysła nagle przepiękna, szmaragdowa smuga - na podwórku sąsiedniej kamienicy rozległy się dźwięki katarynki. W tym samym momencie, za piętnaście pierwsza, runęła w proch i pył cała powaga triumfu naukowego eksperymentu, który miał udowodnić, i rzeczywiście udowodnił, iż odczyn chemiczny jest w stanie zabarwić ogień. Był ciepły, marcowy dzień i przez szeroko otwarte okno, wraz z powiewem wiatru, napłynęły do klasy radosne tony. Jakiś kataryniarz zagrał bowiem skoczną, węgierską melodię w tak marszowym rytmie, że uczniowie z trudem powstrzymali śmiech.

Chłopcy z Placu Broni, Ferenc Molnar - lubimy, jako instruktorzy, zapominać o tym, jak to było na początku naszej harcerskiej kariery. Tymczasem kluczem do powodzenia w prowadzeniu drużyny jest, jak pisał Baden-Powell, przede wszystkim znajomość chłopców w ogólności, a następnie znajomość poszczególnych chłopców. Nie ma (a przynajmniej ja nie znam) lepszej książki o naturalnej bandzie, o takim prawdziwym zastępie niż "Chłopcy z placu Broni". Gdyby Baden-Powell mieszkał w XIX-wiecznym Budapeszcie lub takiejże Warszawie, dostrzegłby te same mechanizmy, które obserwował u angielskich uliczników. Naturalny system zastępowy w tej książce aż prosi się o drużynowego, który zaopiekowałby się

dwoma zastępami młodych Węgrów.

Los Nemecka również nie powinien przejść bez echa wśród instruktorów. Inne czasy, przeziębienie nie musi mieć równie poważnych skutków, ale trzeba umieć zachować ostrożność i rozsądek podczas harcerskich wyjazdów – zadbać o to, by wszyscy mieli wodę w upalny dzień oraz ciepłe ubrania w razie chłodniejszej nocy.

Historia chłopców z Placu Broni i z Ogrodu Botanicznego przypomni ponadto każdemu instruktorowi, jak specyficzne poczucie honoru i przynależności mogą mieć chłopcy, jak bardzo mogą cenić rzeczy pozornie bez najmniejszej wartości, jak z własnej inicjatywy tworzą hierarchię, opartą nie tylko (choć często) na sile fizycznej, jak ważna jest dla nich sprawiedliwość, przestrzeganie ustalonych przez siebie zasad, a także jakie może mieć to wszystko konsekwencje. Bez zrozumienia tych chłopięcych zachowań patrzeć będziemy na własnych harcerzy z perspektywy jedynie opiekuna, a nie instruktora i wychowawcy.

Ja, Sinuhe, syn Senmuta i jego żony Kipy, piszę te słowa. Nie po to, by wielbić bogów w krainie Kem, gdyż już dość mam bogów. Nie po to, by wielbić faraonów, gdyż dość już mam ich wielkich czynów. Piszę to tylko dla siebie samego. Nie, by pochlebiać bogom, nie, by pochlebiać królom, i nie z lęku ani też z nadziei na przyszłość. Gdyż za życia doznałem i postradałem tak wiele, że nie dręczy mnie już czczy lęk, a nadzieją na nieśmiertelność jestem znużony, tak jak znużony jestem bogami i królami. Tylko dla siebie samego piszę te słowa i w tym różnię się, jak sądzę, od wszystkich innych pisarzy, zarówno w czasach minionych, jak i w przyszłych.

Egipcjanin Sinuhe, Mika Waltari – prawdę mówiąc, musiałem wybrać z twórczości tego fińskiego pisarza jedną książkę, choć poleciłbym Wam chyba wszystkie. Ostatecznie zdecydowała opinia “publiczna”, bo tę właśnie powieść uważa się za najwybitniejsze dzieło Waltariego. Autor jest moim zdaniem mistrzem powieści historycznej, choć jego bohaterowie są najczęściej aktorami drugoplanowymi wielkich wydarzeń. Natomiast książki Waltariego cenne są dla instruktorów z nieco innego powodu – ich głównymi bohaterami niemal zawsze są mężczyźni, którzy zmagają się z własnymi słabościami i przeciwnościami losu (od razu trzeba powiedzieć, że kobiety odgrywają w nich niezwykle ważną rolę, a męsko-damskie napięcia są motorem dużej części postępów bohaterów). Uważam, że zarówno instruktor, jak i wędrownik, doskonale odnajdzie się w tych książkach, bez problemu identyfikując się z głównymi bohaterami.

Nie da się ukryć, że melancholia i pesymizm, jakie przenikają z dzieł podobnych do “Egipcjanina” są dojmujące. Nie mają one jednak nic wspólnego z nihilizmem, ponieważ gdzieś w perspektywie zawsze znajduje się świat wartości, a wybory bohaterów, choć trudne, nie mogą uciec od moralnej oceny.

Zachęcam również do lektury [tego krótkiego \(zgrabniejszego niż moje wysiłki\)](#)

felietonu autorstwa mojego klasowego kolegi, któremu zresztą zawdzięczam odkrycie twórczości Waltariego innej niż stojący w domu “Egipcjanin Sinuhe” właśnie.

Był to schyłek osiemnastego stulecia. W zachodniej części Krainy Wielkich Jezior w Ameryce Północnej, tam gdzie obecnie znajdują się stany Minnesota i Wisconsin, wówczas jeszcze rosła prastara puszcza, gdzieniegdzie przeplatana rozległymi połaciami prerii. Tysiące mniejszych jezior kryło się w falistej równinie, która tylko w północnej części posiadała kilka pasm skalistych wzgórz. Na północy rosły bory sosnowe, jodłowe i świerkowe, przechodzące bardziej na południu w lasy liściaste o przewadze brzoź, lip, cedrów, jesionoklonów, dębów i cennych drzew hikory.

Złoto Gór Czarnych, Krystyna i Alfred Szklarscy – te książki (trzy tomy) to właściwie sięgnięcie do jednego ze źródeł skautingu, czyli opowieści o bohaterskich Indianach, których świat, świat surowy, w którym znaczenie ma honor, siła własnych mięśni, panowanie nad sobą i ścisła łączność z przyrodą, musi ulec bezdusznej machinie nowoczesnej cywilizacji. Łączy je przy tym bohater – Przebiegły Wąż z plemienia Wahpekute, szczepu Santee Dakotów. Możemy obserwować jego przemianę z chłopca w mężczyznę, z syna w ojca, aż do chwili, gdy zastępuje go jego syn.

Nie da się oczywiście uniknąć typowych dla epopei indiańskich *cliche*, w najlepszym jednak wydaniu. Mamy więc żądzę złota, podatność na alkoholizm, podstępny biały człowiek, który chce zagarnąć ziemię od wieków należącą do Indian. Książka jest dość prostą, lekką lekturą, to jednak doskonała literatura przygodowa, a w najgorszym razie będzie wspaniałą inspiracją dla wodzów zuchowym w przygotowywaniu “indiańskiego” cyklu.

Siedmiu jeźdźców opuściło Miasto o zmroku przez Bramę Zachodnią, której nikt już nie strzegł, i ruszyło w stronę zachodzącego słońca. Jechali z podniesionymi wysoko głowami, wcale się nie kryjąc (w przeciwieństwie do tych wszystkich, którzy wyjechali przed nimi), bo przecież nie uciekali i nie popełniali zdrady. W ich sercach nie było nadziei, a i wyobraźnię trzymali na wodzy. To była ich broń i tarcza, a ich spokojne dusze i serca skrzyły się zimno niczym kryształ i wrywały do czekającej ich podróży.

Siedmiu jeźdźców, Jean Raspail – książki tego ekstrawaganckiego francuskiego pisarza są dla mnie stosunkowo nowym odkryciem, połąkłem ich już kilka w ciągu

ostatnich sześciu miesięcy. I choć największe wrażenie zrobił na mnie “Pierścień Rybaka”, to “Siedmiu jeźdźców” uważam za książkę niezwykle atrakcyjną dla osób dzielących moje rozumienie harcerstwa i roli, jaką to harcerstwo odgrywa w społeczeństwie. Ze “Złotem Gór Czarnych” łączy tę książkę topos rozpadającego się porządku, przy czym ulegająca destrukcji cywilizacja jest tu znacznie bardziej podobna do tej naszej, zachodniej. Wobec rozsypującego się porządku nieliczni są w stanie wziąć odpowiedzialność za losy państwa (czy raczej kraju), ruszając na straceńczą wyprawę. Straceńczą, bo choć racjonalizują własne zadanie, w głębi duszy przekonani są, że nie ma ono szans na powodzenie i stanowi raczej gest wierności pewnym zasadom. Co zadziwiająco, bohaterowie książek Raspaila wykazują przy tym zadziwiającą pogodę ducha ([o czym już pisałem](#)), co stanowi według mnie idealną ilustrację ósmego punktu Prawa Harcerskiego.

Finał powieści z kolei uderza całkowitą zmianą dotychczasowego tonu i jest dla mnie (nie chcę zdradzać zakończenia) idealną ilustracją współistnienia w harcerstwie dwóch światów – tego obozowego, intensywnego, wypełnionego przygodą, odświeżającego, ale także tego codziennego, szarego, miejskiego. Każdy z drużynowych (nawet tych jeszcze nie pracujących) z pewnością odczuwa różnicę między rolą, jaką odgrywa podczas trzydziestu dni obozu, dźwiganiem brzemienia odpowiedzialności i dorosłości w grupie chłopców, a swoim codziennym życiem, gdy jest tylko jednym z wielu – pracowników, studentów, przechodniów. Czasem, by wyrwać się z codzienności, wystarczy zamknąć oczy (albo sięgnąć po książkę).

W gabinecie kardynalskiego pałacu, przy stole z połączanymi rogami, obłożonym papierami, książkami i rozmaitego rodzaju pismami, siedział mężczyzna z głową opartą na dłoni. Przyjrząwszy się purpurowej sutannie, kosztownym koronkom, wsłuchawszy się w samotnię pokoju, w grobową ciszę przedpokoju i w miarowy krok straży w przysionkach, można było mniemać, że cień kardynała Richelieu znajduje się w jego pracowni.

Wicehrabia de Bragelonne, Alexandre Dumas – każdy czytał “Trzech Muszkieterów” hrabiego Dumasa. Książka ta jest wręcz archetypem powieści spod znaku płaszcza i szpady. Nie znam już jednak tak wielu osób, które sięgnęły po kontynuację w postaci dwóch tytułów: “Dwadzieścia lat później” i wskazanego wyżej “Wicehrabiego de Bragelonne”. Tymczasem cykl o przygodach D’Artagnana i jego przyjaciół wraz z rozwojem fabuły przeistacza się z awanturkowej i romantycznej powieści w nieco bardziej zniuansowaną historię o przyjaźni i jej rozpadzie, chorobliwej ambicji, słowem o zderzeniu młodzieńczego, pełnego optymizmu idealistycznego spojrzenia na świat z brutalną rzeczywistością wielkiej i małej polityki oraz interesów.

Nie jest to może literatura skierowana do wielbicieli poważnych dzieł, ale gdy

pochłonałem ją w szkole podstawowej, zrobiła na mnie duże wrażenie, szczególnie w kontraście do "Trzech Muszkieterów". Myślę, że dobrze jest, gdy instruktor ma świadomość tego, jak kruche, mimo pozorów przyjaźni, potrafią być więzi łączące ludzi, a także jak łatwo poświęcić ideały na ołtarzu własnych ambicji, czy też nagiąć swój kodeks moralny dla dobra ojczyzny (lub dowolnej organizacji pozarządowej).

Nie chciałbym, żebyście pomyśleli, że piszę tu o najlepszych książkach wszechczasów (mój wybór byłby wówczas nieco inny), ani nawet o swoich ulubionych dziełach. Nie ukrywam też, że powyższy wybór nie jest wolny od wpływu czasu, jaki minął od przeczytania poszczególnych tytułów (może czegoś zabrakło, bo po prostu zapomniałem, jakie było dobre...).

Nie, wydaje mi się, że ten zestaw pomoże drużynowemu spojrzeć na swoich harcerzy, a także na skauting w nieco inny sposób niż dotychczas, w sposób pośredni. Oczywiście to tylko moja opinia, być może Wy nie dostrzeżecie (nie poczujecie) w tych książkach żadnego związku z harcerstwem, ostatecznie jednak to po prostu kilka przykładów bardzo dobrej literatury, która dostarczy Wam solidnej rozrywki, podlanej sosem odrobiny refleksji na bardzo różne tematy. Mam nadzieję, że nie będziecie żałować!

Wiele książek, które przychodziły mi do głowy, odrzuciłem z bardzo różnych powodów (choć bardzo bym chciał, by wszyscy je przeczytali). Być może jednak dla Was byłyby one bardziej adekwatne od przytoczonych przeze mnie, jeśli zatem macie swoje propozycje, zachęcam do ich opisania w komentarzach. A ja zabieram się do pisania o kolejnych książkach, których zabrakło w tym tekście z braku czasu i nadmiaru znaków!

Dyzma Zawadzki

W ZHR w latach 2003-2018, przeszedł ścieżkę od młodzika do harcmistrza. Drużynowy 16 WDH „Grunwald” (2009-2012) i patrolu wędrowników „Włóczykije” (2012-2017), robił też parę mniej istotnych rzeczy. Historyk z zamiłowania, adwokat z przypadku, żonę poznał na mazowieckiej „Agricoli”. Stara się przysłużyć harcerstwu spoza organizacji, na tyle, na ile może.